

Teatr

Rzeźnicze ręce Melpomeny

Bo, proszę Państwa, jest tak: znajdujemy się chyba w rzeźni, gdzie trwa – wsparta działaniami praktycznymi – pokazowa sesja zorganizowana przez niejakiego instruktora W. na temat sposobów uboju zwierząt dotkniętych szaleństwem, czyli chorobą Creutzfeldta-Jakoba.

Niestety, prawdopodobnie w wyniku jakowejś awarii nastąpiła przerwa w dopływie elektryczności, co spowodowało, że „puścili” zamrażarki i na sali zrobiło się duszno. Tak więc efektem wizualnym i akustycznym zaczęły towarzyszyć silne efekty zapachowe, które szczególnie nasiliły się w finale sesji, kiedy to wywody referentów wsparto bezsprzecznym materiałem dowodowym w postaci rozmaitych fragmentów wnętrzości zwierzęcych wyłożonych na stole prosektoryjnym. Ale o tym za chwilę.

Także pewnie z przyczyny braku elektryczności centralna część rzeźni (w teatrze zwana sceną, a tu miejscem uboju) tonie w mroku. I tak już będzie do końca sesji. Może to i lepiej, bo nie bardzo jest czym się chwalić.

Mimo utrudnień dostrześliśmy jednak, iż w owym „centrum” znajduje się dziwna, nieco pokraczna postać ustawiona do nas tyłem. I choć sylwetką zbliżona do człowieka, to jednak z bełkotu, jaki z siebie wydobywa, przypomina ryczące zwierzę, któremu najwyraźniej o coś chodzi. Może nawet o coś istotnego, skoro ten bełkot tak długo trwa. O ile dobrze zrozumiałam, są nim zafascynowane trzy nieustannie zawodzące kobiety, które instruktor W. – nie wiedzieć czemu – nazywa bachantkami, a które wysmarowawszy się jakowymś mazidłem udają się do brodzika z wodą i taplając się w nim zmywają twarze.

Następnie, podobnie umazani, po-

jawiają się dwaj mężczyźni, którzy swoje referaty przygotowane na sesję wygłaszają stojąc na głowie, wpiętych jednak obnażwszy się do majtek. Jednego z nich, niedowidzącego, nazywają Terezaszem, drugiego Kadmo-sem. Kolejna postać to jegomość w czerwonej narciarskiej kurtce, podpisujący się jako Penteusz. Ma o sobie dość wysokie mniemanie, uważa się bowiem za głównego uczestnika sesji reprezentującego władzę. Ale wkrótce dyskontuje go inny referent posługujący się pseudonimem Dionizos. Obaj walczą na referaty, ścigają się w prezentowaniu sposobów uboju szalonej zwierzyny. W końcu czerwona kurtka (znak władzy) przechodzi na Dionizosa, który nakazuje swoim asystentkom doszczętnie zniszczyć konkurenta przez oderwanie mu głowy wraz z częścią ramienia od reszty ciała.

Najgorliwszą wykonawczynią polecenia okazuje się rodzona matka Penteusza, nosząca ksywę Agawe. Zresztą, nie jest wykluczone, że znajduje się ona pod wpływem silnej dawki narkotyków twardych. Urwawszy bowiem głowę synowi wraz ze zwisającymi fragmentami ciała, za nic nie chce rozstać się z nią. Wbija głowę najpierw na pal, a potem silnie trzyma ją między kolanami. Sama zaś, cała zakrwawiona, leży na stole prosektoryjnym i wykonuje coś na kształt Tańca św. Wita.

Wyznam Państwu, że jakoś nie przemawia do mnie taka forma prezentacji referatu, choć referentka niezwykle ekspresyjnie ukazuje swoje stanowisko w sprawie uboju. Również nie przemawia do mnie aż nadto wyrazisty finał sesji, kiedy to jeden z głównych asystentów instruktora W. wszedłszy na podium z dwoma wiadrami wypełnionymi szczątkami zwierzęcymi udającymi ludzkie wnętrzości (konkretnie Penteusza), zdecydowanym ruchem wyrzuca je na stół pro-

sektoryjny, ochlapując przy tym dwa pierwsze rzędy.

Nie powiem, zrobiło to wrażenie na zebranych, niektórzy nawet wyszli. Mnie się nie udało, siedziałam w samym środku. I „dzięki” temu – wprawdzie silnie otumaniona – do-trwałam do końca tej, prowadzonej bez przerwy, prawie trzygodzinnej rzeźniczej sesji.

PS. Uważam, iż nastąpiło wyraźne przekłamanie w tytule przedstawienia i nazwisku autora. Ja zatytułowałabym je: „Wariacje niejakiego instruktora W. na bazie niezidentyfikowanych szczątków zwierzęcych udających ludzkie”.

Temida Stankiewicz-Podhorecka

Teatr Rozmaitości: „Bachantki” Eurypidesa, reż. Krzysztof Warlikowski, scen. Małgorzata Szczęśniak, muz. Paweł Mykietyn